

Ks. Jan Sochoń: Jesteśmy stworzeniami poetyckimi

Parandowski z widocznym upodobaniem starał się odnaleźć owe nieodparte impulsy czyniące z człowieka pisarza, artystę. Wszystkie one wywodzą się, jego zdaniem, z przyrodzonej ludzkiej naturze konieczności wyrażania w słowie doświadczenia istnienia, bycia człowiekiem jako istoty zdolnej do mówienia, komunikacji z innymi osobami (narodami, światem), jak równie sugerowania przeżyć wykraczających poza zwykłe stany rzeczy, nazywanych doznaniem mistycznymi – pisze ks. Jan Sochoń w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Parandowski. Pan od Hellady”.

Przyznaję, że jak do tej pory niezbyt często zdarzało się, żebym ze swoimi kolegami pisarzami wspominał Jana Parandowskiego, a zwłaszcza o jego bodaj (z punktu widzenia warsztatu artystycznego) najpoczytniejszej i arcydzielnej książce, jaką jest *Alchemia słowa*, ukończona po wielu latach twórczego wysiłku, by ostatecznie doczekać się wielu wznowień aż po dzień dzisiejszy. Zbiór esejów, jakich niewiele w polskiej literaturze, choć sam ich tematyczny rdzeń przenika ludzką myśl twórczą od chwili, kiedy z sił naturalnego języka zdołano wykrzesać iskrę metafory, porównania czy symbolu, włączyć wyobraźnię w proces osvajania sekretów rzeczywistości, jak i samego człowieka podniesionego do godności korony stworzenia.

Literatura w okowach medialnej dyktatury

W naszym wieku sporo się jednak zmieniło. Żyjemy w świecie medialnej dyktatury i różnych form walczącej demokracji podszytej przemocą i aksjologiczną dowolnością, co bezpośrednio wpływa na etos pisarski oraz relacje osobowe budujące ludzką i aksjologiczną stabilność środowisk artystycznych. Najmłodsze pokolenie wzrasta w krajobrazach, gdzie nie ma już styczności ze smakami czy barwami natury, co najwyżej z ich sztucznymi odpowiednikami. Realizm, cud samego istnienia, potęga (często niosąca przerażanie i niszczycielskie nawałnice) samej przyrody, zostały oddzielone od ludzkiego bycia najpierw poprzez uznanie języka za najważniejsze narzędzie poznania, a właściwie kreacji tego, co uznaje się za realnie obecne, później zaś status obowiązywalności przyznano sferze tworzonej przez treści wytwarzane przez najróżniejsze ośrodki elektronicznej perswazji, jak też zachowania czytelniczo-językowe użytkowników tak zwanych mediów społecznościowych.

Kultura, jeżeli uznać, że wciąż nią jest, nie uzupełnia w żadnym aspekcie samej natury, lecz ją w sposób zasadniczy zastępuje zamykając całe społeczeństwa w jaskini narzucanych treści, rozdzielonych na różnego typu bańki towarzysko-ideologiczne. Siłą tego faktu zmieniają się nawyki i wzorce kulturowe, więź ze zdobyczami budowanymi przez tradycję i historię ludzkiego intelektu raptownie zanika, gasną wspólnotowe rozmowy, zaś umiejętność rozumiejącego czytania i posługiwania wysublimowanymi formami języka literackiego traci na znaczeniu, pokonana przez niemal nieograniczone możliwości osłaniane w coraz doskonalszych i szybszych aplikacjach i programach sztucznej inteligencji.

Muszą przeto ulec zasady funkcjonowania współczesnego szkolnictwa, zwłaszcza na poziomie uniwersytetów. Co wyrosnie na gruzach środowiskowych bibliotek, festiwali i kawiarni literackich, spotkań autorskich, wydawanych w zachwycającej szacie edytorskiej albumów i tomów poezji? Czy rozwijająca się z szybkością śnieżnej lawiny nowa jakość życia społecznego uczyni z kultury luźny zestaw niezobowiązujących do aktywnej współpracy głosów w przestrzeni otwartego sporu i zróżnicowanych oczekiwań, marzeń i pragnień jednostek zamrożonych w swych, niemal pozbawionych wolnej woli, decyzjach?

Nie wiem, lecz jestem świadom dokonujących się przemian w obszarze kultury, która nie spełnia żadnej funkcji wiodącej, poddawana (proszę to sobie wyraźnie uświadomić) naciskom światowych potęg dzierżących w swych rękach (i umysłach) władzę, dysponującą legitymizacją pochodzącą z dysponowania wiedzą niedosięzną zwykłym śmiertelnikom, umożliwiającą manipulowanie całymi połączeniami globalnej rzeczywistości. W takiej sytuacji czy ktokolwiek będzie zwracał uwagę na roszczenia tych, których od wieków określano mianem twórców, pisarzy, artystów, poetów? Czy ktoś będzie w nich widział przewodników ducha, obrońców religijnych wzorców postępowania albo propagatorów piękna jako wartości wzbudzającej upodobanie, pobudzającej do ekstatycznych przeżyć i wewnętrznych uniesień?

Biblioteka życia Jana Parandowskiego

Przypominam o tym wszystkim z racji osoby i pisarstwa Jana Parandowskiego (1895-1978), tradycyjnego, w najszlachetniejszym sensie tego określenia, w swych twórczych zamiarach oraz fascynacjach europejską literaturą i sztuką zakorzenioną w starożytnej Grecji i jej kontynuatorach z terenów Cesarstwa Rzymskiego. Był z wykształcenia filologiem klasycznym, archeologiem, prozaikiem, tłumaczem, eseistą, naukowym beletrystą, jak go nazywał Józef Wittlin, prezesem polskiego PEN Clubu, nauczycielem akademickim, działaczem w sferze kultury i literatury na terenie kraju i w świecie, poliglotą, zaznajomionym z największymi autorami epoki, o których pisał w *Alchemii słowa* i w *Królu życia*. Odebrał znakomite wykształcenie, oparte na znajomości kultury i języków starożytnych, nie wyłączając języków ery nowożytnej. Po I wojnie światowej został internowany na terenie Rosji, pracował jako nauczyciel, by już po powrocie do kraju dokończyć wcześniej rozpoczęte studia, wzmocnić w samym sobie chęć pracy pisarskiej, redaktorskiej, publicystycznej.

Wcześniej, bo w 1924 roku opublikował we Lwowie *Mitologię*, która stała się jednym z najbardziej rozpoznawalnych jego dzieł, wpływając w znacznym stopniu na popularyzację nad Wisłą dorobku antycznego. Większość swoich prac poświęcił wspomnianej tradycji, rozpisując starożytną skalę doświadczenia egzystencjalnego na formy bliższe współczesności, w której sam działał i którą chciał przeniknąć pisarskim blaskiem. Odwiedził sporo krajów, bywał gościem wielu pisarzy, chociażby André Gide'a. O tym spotkaniu wspomniał w *Podróżach literackich*, malowniczo kreśląc aurę wydarzenia: oto francuski pisarz siedzi w grubym szlafroku i wełnianej szlafmocy, a sam Parandowski, ćwierć wieku młodszy od sędziwego kolegi, dokłada drew do pieca! Iluż autorów chciałby się znaleźć w tym momencie na jego miejscu![1]

Przynależał do sygnatariuszy „Listu 34”, pisma, jakie z inicjatywy Antoniego Słonimskiego wystosowali w 1964 roku do rządzących polscy pisarze i naukowcy zatrwożeni ograniczaniem przez władze PRL wolności słowa, i co ważne nigdy się z tej decyzji nie wycofał. Trwał niezmiennie przy moralnych pryncypiach wmontowanych w grecką aksjologię owładniętą późniejszym duchem chrześcijaństwa, w którego sercu znalazła się Chrystusowa ofiara Golgoty i Zmartwychwstanie. Stale towarzyszyło mu przekonanie o niezbywalności książki jako skarbu kultury i swoistego znaku człowieczeństwa. Bez ich bliskości czułby się kimś zgoła osieroconym, pozbawionym daru widzenia szerszego niż popularne „szkiełko i oko”. Przeczuwał co prawda to wszystko, co nadciągało wraz z utechniczaniem życia, ufał jednak, że książka jako taka ocaleje, że słowo i szacunek jaki mu się należy pozostaną trwałą podstawą kulturowej codzienności. Nie wyobrażał sobie „epoki bez pisma”, co w XXI wieku wcale nie wydaje się tak szokujące czy absurdalne.

Tego rodzaju postawa pociągała za sobą ważne konsekwencje. Parandowski po prostu skupiał uwagę na kwestii węzłowej dla każdego pisarza, wiążącej się ze stale aktualizowanym pytaniem: jakie czynniki, zewnętrzne i wewnętrzne, potęgują albo uniemożliwiają proces twórczy, co sprawia, że niektórzy z autorów w młodości wybuchają ogniem geniuszu, inni zaś osiągnają szczyty artystycznych możliwości w schyłkowym momencie życia? Czy pisarstwo to co głównie sztuka słowa, doskonale opanowane rzemiosło, niewymagające niczego więcej, chociażby odpowiedniego stanu umysłu, czegoś co wypada nazywać instynktem twórczym, w węższym znaczeniu, instynktem poetyckim?

W żywiole natchnienia i pracy w słowie

Gdyby przyjąć tę ostatnią hipotezę, to gdzie albo w czym (kim?) należałoby upatrywać literacki zarys, źródło? Chodzi o sprawy i tajniki warsztatu literackiego, który u poszczególnych autorów formułuje się w sposób nieco odmienny, naznaczony im tylko przynależną sygnaturą różnicy, w sobie oryginalności. Wymaga odpowiedniego stylu życia, skupienia, duchowej koncentracji i nieustającej pracy, która nie zawsze kończy się sukcesem, choć musi być otwarta na różnorodność zarówno aktów twórczych, jak i samych dzieł. Tolerancja to konieczna cnota tych, którzy wierzą w sens pisarskiego trudu. Dlatego Parandowski *Alchemię słowa* skomponował w taki sposób, żeby najistotniejsze zagadnienia związane z pisarstwem zmieścić w ramach wyznaczonych przez kategorię powołania, życia, pracowni, natchnienia, pracy, słowa, tajemnic rzemiosła, tworzywa literackiego, laboratorium literatury, stylu, pierwszej i ostatniej myśli, ukrytego sojusznika i nieśmiertelnej sławy. To tytułowe wyróżnienie rozdziałów jest raczej formalne, ponieważ treści je stanowiące zazębiają się ze sobą, siebie wzajem warunkują i naświetlają.

Oczywiście, materiał do przemyśleń i stawianych tez Parandowski czerpał nie zawsze z własnego doświadczenia, częściej z sugestii podsuwanych mu podczas spotkań autorskich, lecz przede wszystkim ze spotkań z koryfeuszami światowej literatury, z lektury ich książek bądź zapisków intymnych. A ponieważ bywał stale zapraszany na organizowane w różnych miejscach kongresy, miał możliwość rozmów z autorami, nieraz o bardzo egzotycznej powierzchowności i kulturze artystycznej. Zapewne w takich chwilach rozeznał, że w poszukiwaniu motywacji pisarskich istotną rolę mogą odgrywać sprawy wydawałoby się marginalne, takie jak pisarskie przyzwyczajenia, śmieszności,

upodobania estetyczne, kulinarne, gromadzone gadzety i książki, urządzenie pracowni, rodzaj papieru, sposoby ostrzenia ołówka, marka obsadki czy maszyny do pisania.

Nie sposób zliczyć podszeptów (materialnych i duchowych), dzięki którym powstaje wielobarwny gobelin literatury, tkany w nagłych olśnieniach trwających niezbyt długo, albo w systematycznym czuwaniu za biurkiem we wczesnych godzinach rannych albo w późnej ciszy nocnej. Najgorsze do zniesienia zdają się być dni, miesiące a często i lata, kiedy panuje „ponure milczenie mózgu” i nie sposób czegokolwiek napisać, co uzyskałoby aprobatę. Natchnienia wszakże nie sposób zaplanować, na sobie samym wymusić, choć niektórzy modlą się o takiego rodzaju dar i moc wyobraźni, o jakieś pobudzające ducha twórczego wydarzenie lekturowe, co stało się udziałem chociażby Jana Jakuba Rousseau, którego gazetowa notka o konkursie ogłoszonym przez Akademię w Dijon, zachęcająca do odpowiedzi na pytanie: czy postęp nauk i sztuk przyczynił się do zepsucia czy do poprawy obyczajów do pisarskiego zawodu, wybudziła go z egzystencjalnej drzemki, czyniąc zeń rasowego pisarza.

Parandowski z widocznym upodobaniem starał się odnaleźć owe nieodparte impulsy czyniące z człowieka pisarza, artystę. Wszystkie one wywodzą się, jego zdaniem, z przyrodzonej ludzkiej naturze konieczności wyrażania w słowie doświadczenia istnienia, bycia człowiekiem jako istoty zdolnej do mówienia, komunikacji z innymi osobami (narodami, światem), jak również sugerowania przeżyć wykraczających poza zwykłe stany rzeczy, nazywanych doznaniem mistycznymi. Wskazana dążność do wypowiedziania się, właściwa wszystkim ludziom, w przypadku pisarza nabiera niezwyklej wyrazistości i siły, dopełnia, potęguje niejako samo życie, o czym

świadczą nie tylko pojawiające się wielkie idee czy projekty naukowe, ale każda zwrotka wiersza, odsłaniająca określone okruchy rzeczywistości. Nic tedy dziwnego, że autor *Erosa na Olimpie* przyznawał literaturze i sztuce ogromną władzę, nie w znaczeniu zaproponowanym współcześnie przez Foucaulta, lecz w sensie zdolności budowania ładu w świecie ogarniętym przez chaos, kreowania nowych wartości. Taka władza nad ludźmi i przyrodą, umożliwiającą realizowanie – choćby w sposób niezbyt świadomy – zamysłonej przez siebie pisarskiej misji, stanowi, oprócz emulacji, ambicji, rozkoszy, przyjemności, tęsknoty, wart zauważenia bodziec twórczości.

Przyjemność z pisania

Rozważmy sprawę przyjemności. To słowo nasuwa od razu na myśl niewielką rozprawkę, którą ongiś ogłosił Roland Barthes pod tytułem *Przyjemność tekstu*. Francuski myśliciel powiadał w tej niej, że przyjemność, z jaką się pisze, nie przeczy różnego rodzaju cierpieniom czy trudom pisarskim. Podobnie sądził Parandowski. Często podkreślał, że lubi sam akt pisania, ponieważ jest zarazem trudem i zaczynem niecodziennego szczęścia, kiedy głównie w dykcji poetyckiej ujawnia się istnienie konstrukcji wewnętrznej strony świata i człowieka, zgodnie z przekonaniem Heraklita, że „układ każdej rzeczy lubi się ukrywać”. Podczas pisania podchodzimy aż pod sam próg tajemnicy. Odczuwamy i zapisujemy ten wymiar życiowych odczuć, które wymykają się językowi potocznemu oraz ustaleniom panującym aktualnie w danej kulturze artystycznej. Jakżeby inaczej, takie momenty olśnienia zdarzają się niezbyt często, lecz kiedy się zrodzą,

przynoszą sporo satysfakcji. Przyjemność tworzenia wiąże się także z wykorzystywaniem fikcji literackiej, gdyż fikcjonalność to jedna z atrybutywnych cech utworu literackiego. Bez fikcji nie ma literatury.

Odnieśmy się do *Boskiej Komedii*. To arcydzieło jest wielką wizją, w której Dantemu wcale nie chodziło o dosłowną prawdę, ale o zmyślenie, o to, żeby prawda stawała się rezultatem fikcji, żeby przemieszana z nią zyskiwała rejestr hermeneutyczny. Każde dzieło ujawnia własną artystyczną prawdę, posługując się, powtarzam, elementami fikcyjnymi. Czytamy poezję, czytamy eposy czy dramaty, ponieważ mają czarowną, niekiedy zaskakującą estetycznie formę, poruszają stylem narracyjnym, aurą ewokowaną przez słowa czy zdania. Prawda literatury w każdym przypadku odsyła do sfer idei. Słowo nigdy nie jest rzeczą, którą prezentuje, nie przeistacza się w rzecz. Literatura to piękne kłamstwo, odsłaniające żywą prawdę o świecie. Czyż nie jest przyczyną pisarskiej i czytelniczej przyjemności? Żeby jednak tak mogło się stać, należy dysponować bogatą wyobraźnią, polotem, głębokim rozumieniem świata, zdobyć umiejętność doboru środków, za pomocą których będzie możliwe osiągnięcie zamierzonych celów estetycznych, uczuciowych, intelektualnych – jednym słowem, powinno się wypracować własny pisarski styl, jako że „styl to człowiek”[2].

W tym miejscu rozważań należy dodać niezbędną uwagę. Otóż, do podstawowych powinności pisarskich, postulował Parandowski, należy lektura książek[3] szeroko pojętej humanistyki, nie tylko pisanych przez filologów klasycznych, szczególnie przez niego cenionych. Trzeba poświęcać uwagę na pisma historyków, filozofów, znawców sztuki i literatury, zwłaszcza tych, którzy nie stronią od gatunku eseistycznego, formy niebywale pojemnej, zdolnej do czerpania z wielu źródeł i

odniesień, nie baczącej na roszczenia skostniałej narracji akademickiej, przypominającej więź z kości słoniowej. Niestety, powiadał Parandowski, w naszej dobie historyk dbały o styl może stracić stanowisko w nauce[4], bo marzy mu się przynależność do „rzeczypospolitej literackiej, co do dzisiaj w zbiorowościach naukowych bywa uznawane za nieznośny kamień obrazy.

Być pisarzem za wszelką cenę

W każdym razie bycie pisarzem wiąże się z pewnym społecznie usankcjonowanym prestiżem (o różnej intensywności w poszczególnych epokach), jak też specyficznym stylem życia, wynikającym bardzo często z faktu, że „siostrą talentu jest bieda” i to od czasów najdawniejszych, Parandowski nakreślił ekonomiczną historię literatury, zauważając, że do rzadkości należały przypadki troski władców o potrzeby piszących literatów. Chwaląc ich dokonania, wykorzystując w celach polityczno-propagandowych, najczęściej zapomniano o gratyfikacjach materialnych, a dąsy i nieuczciwość wielu mecenasów uchodziła niemal za przysłowiową, choć zdarzały się chlubne od tej reguły wyjątki, zwłaszcza w czasach europejskiego humanizmu, wszak Manetti otrzymał od Alfonsa Aragońskiego roczną rentę w wysokości 900 dukatów, inni zaś dostępowali zaszczytów życia dworskiego.

Najczęściej znamienici twórcy wycierali łzy w przedpokojach bogatych mecenasów i wydawców, nie dysponując ani prawem autorskim ani odpowiednimi tantiemami, co nieraz prowadziło do osłabienia ich talentu. Mimo to siła pchająca do pisania pozostawała i wciąż pozostaje na tyle pociągająca, że nie oparł się jej żaden twórca mający

świadomość własnej wartości, dający się uwieść magii słowa, żeby w ten sposób dorzucić choćby kilka wersetów do dziejowej pieśni nad pieśniami. Wiele stron poświęcił Parandowski temu, żeby opisać warunki pisarskiej aktywności, od roli (przeważnie niezbyt pochlebnej) kobiet, po różnorodność przeżyć i doświadczeń cielesno-duchowych, znaczenia miejsc pracy (w wygodnych fotelach lubi się gnieździć lenistwo!), aż po zagadnienia psychologii sławy albo poniżenia. Uwypuklił potrzebę samotności, spokoju i ciszy, jakiegoś kąta pustelniczego, ponieważ jedynie w takich okolicznościach moc natchnienia wzrasta, może się uaktywniać, choć konieczność nieustannej pracy w słowie i nad słowem nie może zostać zlekceważona.

Większość przypadków, jakie Parandowski uchwycił, potwierdza zasadnicze przekonanie, że w akt twórczy realizuje się w dwuaspektowym wymiarze: najpierw następuje, z trudnych do przedstawienia chwilach, niejako poza wpływem woli, tajemnicze zabarwienie umysłu, niecodzienne duchowe ożywienie, sprawiające, że zjawia się szansa wyboru z zasobu językowego pierwszych słów, pierwszego zdania, które niczym zaśpiew nadaje ton i styl przyszłego dzieła, jak lawina ciągnie za sobą słowa następne. Ta „niespodzianka duszy”, jak powiadał Fryderyk Schiller, bywa darem i nie sposób jej w sobie zainicjować. Ale kiedy się pojawi, choćby w skromnej postaci, wprowadza w drugi etap pisarskiego działania, czyli w żmudną, trwającą niekiedy wiele lat, pracę nad ostatecznym kształtem dzieła.

Najważniejszą sprawą jest więc irracjonalne pobudzenie umysłu i następna w kolejności mozolna praca ze słowem. Zjednanie dwóch sekretów życia, bez których żadna sztuka nie jest w ogóle możliwa. Pewne fetysze codzienności mogą wspierać w pisarskim trudzie, jak

choćby kolor tapety w pokoju, przywieziona z Martyniki muszla albo dobre wino, zgodnie z zaleceniem Kochanowskiego, który nie dla żartu pisał: „Znał kto kiedy poetę trzeźwego? Nie uczynił taki nic dobrego”[5]. Niemniej jednak nie one w ostateczności decydują o pisarskim sukcesie bądź porażce. Liczy się ogarniająca całe osobowe wyposażenie artysty podnieta, ów tajemny instynkt poetycki oraz mozolne zmaganie się z oporem słowa. Dar z niebios i wyczerpujący trud nadążania za językiem, który jest czymś żywym, bez przerwy się zmieniającym – oto niezbędne komponenty artystycznego zaangażowania.

Twórcza niezbywalność tajemnicy

W obu dostrzeżonych porządkach pojawia się rys tajemnicy, gdyż nie bardzo wiadomo, jak „działa” szal poetycki, ten eros z pojęciowego zestawu Platona, a i sam logos nie poddaje się łatwym objaśnieniom. Na próżno szukać drogowskazów na tej pokrytej mgłą drodze, mimo że chęć utrwalenia na wieczność ruchu, dźwięku, obrazu jest nieodparta i zarazem fascynująca. Tym bardziej że zdolność poetyckiego widzenia zrosła się z osobowym bytem człowieka, który od swoich prapoczątków potrafił korzystać z antropomorfizacji, przenośni, porównania czy nawet analogii, choć nie umiał tych zdolności jeszcze zrozumieć i nazwać.

Dalsze losy ludzkiej kultury doprowadziły do postępu w wykorzystywaniu możliwości tkwiących w języku naturalnym, czyli powstałym na drodze dziejowego rozwoju. Po czasach klasycznej miary, rytmu i rymu, aż do rewolucji rozpoczętej przez Apollinaire’a, nic już nie pozostało z definicji poezji jako sztuki naśladowania w mowie

wiązanej. Rozgościł się wszechwładnie wiersz wolny, niekiedy tylko podrymowany, zanikły więzy poezji z retoryką, deklamacją, natomiast zamazywanie sensów stało się odpowiedzią na nieczytelność świata. Odtąd żadne przesady nie ograniczają pisarzy w doborze słów, w tworzeniu skali składniowych innowacji, żeby tylko uzyskać efekt nagłego zaskoczenia, oryginalnego podrażnienia oczekiwań czytelników. Toteż życie literackie było i będzie polem walki, gry, ryzyka, jako że autorzy nie są w stanie przewidzieć, co się stanie z ich dorobkiem, zwłaszcza w nadchodzących czasach elektronicznego dyktatu. Gwiazdy literackie gasną w szybkim tempie, w wielkim przeludnieniu, hałasie i zabiegach promocyjnych. Języki, tak drogie Parandowskiemu, łacina i greka wyszły z powszechnego użycia, nawet w praktyce chrześcijańskiej.

Żyjemy i tworzymy w przeciążonej pamięci kulturowej. Każda zmiana w sferze polityki, religii, w doktrynach społecznych bądź w obyczajach, w rozumieniu człowieka i dookolnej rzeczywistości, przekształca zarówno charakter i treść samej literatury, jak i wpływa na sposoby interpretacji, czytania, nie mówiąc już o przebudowie wynikającej z dynamizmu techniki. Czy wobec tego pogodna nadzieja Parandowskiego, że tylko myśl pochwycona w sieć liter żyje, działa, kreuje, ostatecznie się, skoro kultura utknęła w martwym punkcie, obracając się wokół tych samych kwestii niczym szybki młyn diabelski? Zostaliśmy zepchnięci na samo dno ogłupiającej rampy społecznej, gdzie króluje, podsycane przez media, ludzkie „ja”, wyzbyte jakichkolwiek reguł moralnych, poza tymi, które sankcjonują najbardziej niedorzeczne, oparte na samowoli i zuchwalstwie koncepty. Zwolenników takiego modelu działania Biblia nazywa „pokoleniem Noego”. Czytamy na jej kartach, że ludzie jedli i pili aż do dnia, kiedy sprawiedliwy Noe wszedł do arki i dzięki temu się

uratował. Wówczas przyszedł wodny kataklizm i wygubił wszystkich. Co prawda, drugiego potopu nie będzie, ale nie wiemy co stanie się „za dni Syna Człowieczego”, czyli w momencie sądu ostatecznego.

Krople atramentu biegną w żyłach kultury

Proszę mi wierzyć albo nie wierzyć, ale taka perspektywa, choć inaczej wyrażona, wzmagają w Parandowskim – a także w sercu niżej podpisanego – przekonanie o sensowności i nieodzowności literatury jako jednej z podwalin ludzkiej egzystencji. Mimo że wali się z hukiem konstrukcja obecnego świata, warto wzmóc świadomość, że ludzkim zadaniem jest budowanie dróg umożliwiających osiągnięcie szczęścia, ujmowanego zawsze w sposób analogiczny. Nikt w tym nikogo z nas nie wyręczy. Toteż przyjmijmy tradycyjne przesłanie Jana Parandowskiego, że krople atramentu biegną w żyłach kultury, a ci z pisarzy, którzy nie widzą swych dzieł w perspektywie wieczności, nie powinni w ogóle brać piór do ręki, gdyż rozsiewają zaledwie plewy.

Niektórych ze współczesnych rażą tego typu zapatrywania. Jacek Dehnel na przykład rozpała się do czerwoności sugerując, że zawartość *Alchemii słowa* to nic innego jak rozpoetyzowane bałamuctwo (w oryginale bardziej krwiste określenie) piętrzące się hałdami retorycznej przesady[6]. Rozumiem, że nikt nie ma prawa narzucać artyście niczego, co nie byłoby zgodne z jego metodą twórczą, akceptowanymi zasadami i nawet sympatiami natury estetycznej czy każdej innej. Ale istnieje również niezliczona gama odmiennych rozeznań, opinii, światopoglądowych przekonań godnych pogłębionej dyskusji. Któż może wiedzieć jak się sprawy naprawdę mają w swej

najgłębszej istocie, zwłaszcza jeżeli dotyczą tak enigmatycznych, pokrytych nimbem tajemniczości kwestii literatury, jej posłannictwa i funkcji społecznych.

Warto przeto i należy czytać książki Parandowskiego, wzbogacać się ich stylistycznie nienaganną frazą, krytycznie rozważać zgłoszone przez pisarza tezy i opinie, radować się wielką ilością rozszaniowanych na wielu stronach tak zwanych złotych fraz, doceniając światową ogładę pisarza i dogłębną znajomość nie tylko klasycznej tradycji. Tej klasy pisarze wymagają zaledwie jednego: szacunku i sprawiedliwej miary w ocenie ich osiągnięć. Wszystko inne zostanie im przydane już poza sferą doczesnych, jakże kapryśnych, wpływów.

Ks. Jan Sochoń

Przypisy:

[1] Podaję za: J. Tomkowski, *Szept Montaigne'a. O eseistyce Jana Parandowskiego*, „Nauka 2013 nr 3, s. 8.

[2] To popularna parafraza zdania M. de Buffona z jego rozprawy *Discours sur le style*, Paris 1872. Zapis pierwotny brzmi następująco: *Ces choses sont hors de l'homme, le style est l'homme même*.

[3] Parandowski miał zwyczaj rannego czytania, przy blasku świecy, z pogardą dla światła elektrycznego stale tej samej książki, mianowicie *Pana Tadeusza*, w ekskluzywnym wydaniu z ilustracjami Tadeusza Gronowskiego, o czym wspomina w jednym ze swoich szkiców wydanych w 1968 roku.

[4] J. Parandowski, *Alchemia słowa*, Warszawa 1976, s. 35.

[5] J. Parandowski, *Alchemia słowa*, dz. cyt., s. 123.

[6] J. Dehnel, *Przeciw Parandowskiemu*, w: J. Parandowski, *Alchemia słowa*, Warszawa 2020, s. 304.

Fot. Janusz Sobolewski / Forum

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
